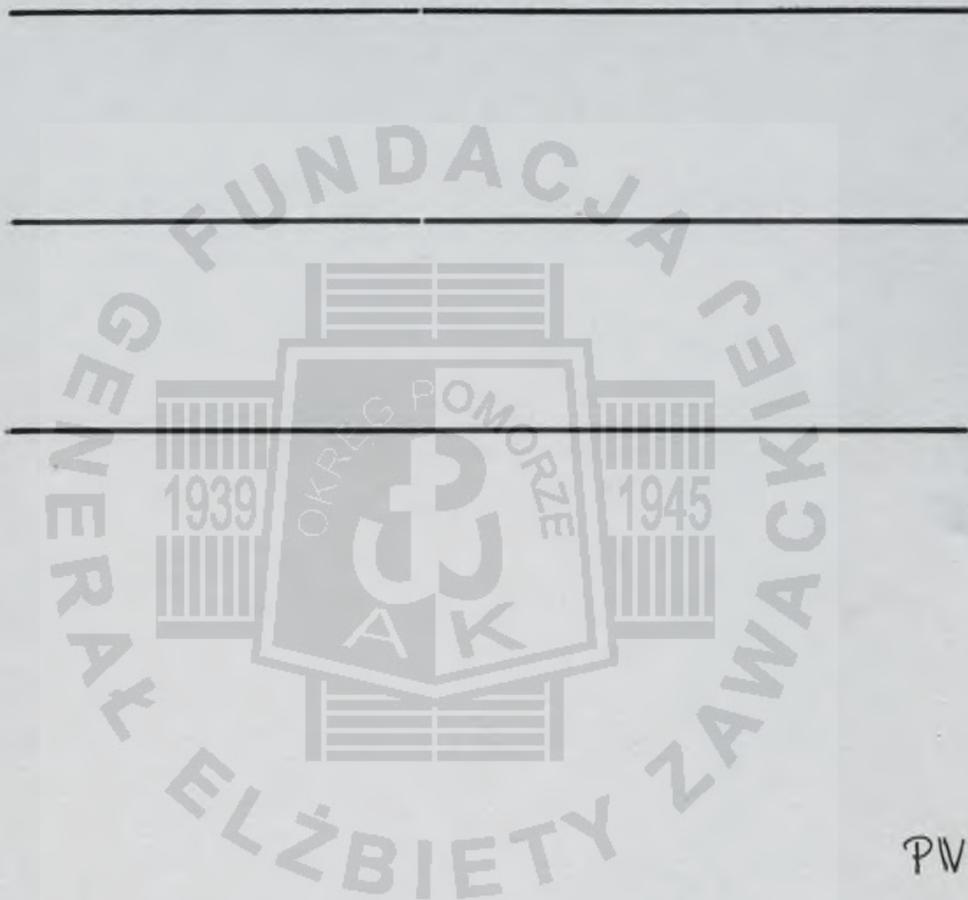


oprac. MGR - wypisy zwolnione  
VIII 98

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ  
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polek  
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186  
e-mail: fepak@wp.pl; www.zawacka.pl

MEMORIAŁ  
Generał Marii Wittek



PWK

AK

W-wa

przystąpiła  
T. Bojarska  
z Kowalewska  
02 534 Warszawa

JASTRZĘBSKA Zofia  
zom Kowalewska

ps. "Zosia"

1069 / WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI —

JASTRZĘBSKA Zofia

zam. Kowalewska

1069/Wok

**I. Materiały dokumentacyjne**

I/1 – relacja właściwa ✓

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

**II. Materiały uzupełniające relację**

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):**

III/1 – dot. rodziny relatora

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945)

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – inne...

**IV. Korespondencja**

**V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]** ✓

**VI. Fotografie** ✓

Zofia Jastzebska -  
Kowalewska

c. Juliana i Staszynski  
umoh. 5.05.23 Warszawa

"BASZTA"

02-534 Warszawa

# I<sub>11</sub> Relacja Włocława

- Z. Jastrzębska - Kowalewska, Hoje wspomnienia wojenne,  
maszynopis, k. 8 s. 1-9

||

ksero, k. 8 s. 10-18



Zofia Jastrzębska-Kowalewska

ps. „Łosior”

## MOJE WSPOMNIENIA WOJENNE

Dziś, gdy usiłuję odtworzyć swoje przeżycia wojenne, zauważam jak wielką rolę w moim życiu odegrały patriotyczne postawy ludzi z mego otoczenia. Przede wszystkim ojciec, Julian Jastrzębski ps. „Chuligan” (zm. 1936), który w wieku młodzieńczym jako członek PPS walczył z caratem. W roku 1905 brał udział w zamachu na przedstawiciela carskiej władzy. Został aresztowany i uwięziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Jako dziecko z ciekawością słuchałam opowiadań na ten temat. Ojciec był wielbicielem marszałka Józefa Piłsudskiego. Do końca życia pozostał mu wierny. Podczas wyborów głosował otwarcie na listę piłsudczykowską; idąc do urny ostentacyjnie wkładał za wstążkę swojego melonika kartkę z numerem pierwszym. Jeszcze bardziej imponował mi mój stryj i jednocześnie chrzestny ojciec - rtm. Karol Jastrzębski. Był on weteranem pierwszej wojny światowej i wojny z bolszewikami w 1920 roku. Jako ułan Legionu Puławskiego został trzykrotnie ranny, w wyniku czego pozostał mu trwały niedowład prawej reki. Za odwagę i męstwo został odznaczony orderem *Virtuti Militari*. (Mam jako pamiątkę rodzinną kopię legitymacji upoważniającej go do noszenia tego odznaczenia. U rodziny do dziś zachował się oryginał tej legitymacji oraz noszony przez stryja krzyż.) Pamiętam jak przyjeżdżał do nas konno z ordynansem... Trzecią osobą, którą pragnęłam naśladować, była Antonina Kon.

Antonina Kon - komendantka hufca P.W. w naszej Szkole. To ona przygotowywała nas do służby Ojczyźnie, abyśmy w razie potrzeby mogli stanąć w Jej obronie. Byliśmy, jak wszyscy młodzi, pewne zwycięstwa nad każdym wrogiem, który śmiałby zaatakować Polskę. Żadna z nas nie przypuszczała wówczas, że wojna, która wybuchnie, może być wojną przegraną, że będzie nas czekało długich pięć lat walki podziemnej. Moim dziewczęcym marzeniem była służba sanitarna w wojsku. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniłam stając się członkiem i następnie prezesem szkolnego koła PCK. Wobec narastającego zagrożenia ze strony Rzeszy Niemieckiej zaczęto organizować środki obrony. Zgłosiłam się ochotniczo do służby w placówce LOPP mieszczącej się w naszym domu. Wkrótce przewidywana wojna stała się faktem. To już nie były alarmy próbne, bomby zaczęły spadać naprawdę. W czasie dyzurów trzeba było pokonać lęk o własne życie i stać na posterunku. Te przeżycia były jedynie wstępem do tego, co miało nastąpić... Po długiej i bohaterskiej obronie stolica skapitulowała. Przeżywaliliśmy wszyscy ogromną gorycz klęski... Jednych to załamywało i wtrącało w apatię, innych - mobilizowało do dalszej walki. Wśród tych drugich była Antonina Kon.

Od niej otrzymałyśmy nasze pierwsze zadanie: roztoczyć opiekę nad rannymi żołnierzami Wojska Polskiego w szpitalach warszawskich. Po instrukcje miałyśmy się zgłosić do p. Binzer - właścicielki domu przy ul. Flory 1. Pani Binzer skłoniła lokatorów swego domu, a także lokatorów Spółdzielni Mieszkaniowej z ul. Filtrowej, do ofiarowania codziennie porcji obiadu dla dożywienia rannych żołnierzy. Początkowo pobierałyśmy obiady z ul. Filtrowej i nosiłyśmy je do filii Szpitala Ujazdowskiego przy ul. Śniadeckich 7 (gmach szkolny). Następnie zaczęłyśmy odbierać obiady z ul. Flory i nosić je do Szpitala Ujazdowskiego. Nosiłyśmy te obiady w menażkach lub innego rodzaju naczyniach. W szpitalu należało potrawy odgrzać, nakarmić rannych i umyty sprzęt odnieść z powrotem. Nasza działalność była jedynie jednym z wielu przykładów postawy społeczeństwa w owym czasie. Chciałabym w tym miejscu wspomnieć o panu Michale Wiśniowskim, w którego Fabryce Ciast i Cukierków wtedy pracowałam. Z jego polecenia przed świętami Bożego Narodzenia w 1939 roku

szukowaliśmy paczki, które były wysłane żołnierzom polskim znajdującym się w obozach jenieckich na terenie Rzeszy. To ośmieliło mnie do zwrócenia mu uwagi na podobne potrzeby rannych żołnierzy w znanym mi Szpitalu Ujazdowskim. Odtąd przez następne lata przed każdym Bożym Narodzeniem i Wielkanocą pacjenci Szpitala otrzymywali od niego za moim pośrednictwem paczki ze słodyczami. Mój kontakt z pacjentami pozwolił dostrzec dwie kategorie chorych. Jednych - albo otoczonych troskliwą opieką przez rodziny lub osoby im bliskie, albo lekko rannych, więc mogących poradzić sobie samodzielnie, i drugich, najczęściej poszkodowanych - psychicznie chorych, a przede wszystkim tych, którzy przy braku obu rąk lub innych ciężkich obrażeniach wymagali karmienia. Wielu spośród tych drugich to byli ludzie samotni i opuszczeni, nieodwiedzani przez nikogo, przeważnie ze wsi. To ich właśnie postanowiliśmy otoczyć szczególną opieką. Na pierwszą okupacyjną Wieczerzę Wigilijną każda z nas zaprosiła jednego z samotnych żołnierzy. W następnych latach, dzięki lepszej organizacji wspólne Wigilie dla pacjentów były urządzone na terenie Szpitala.

Zimą 1939 roku otrzymałyśmy od instruktorki P.W. Ewy Dąbrowskiej polecenie odebrania z magazynów przy ul. Okopowej dużej ilości wojskowych opatrunków osobistych produkcji angielskiej i przechowania ich w domach. Zapełniłam nimi dwie duże szuflady w komodzie. Te opatrunki były bezcenne w czasie Powstania Warszawskiego.

Na wiosnę 1940 roku komendantka Antonina Kon ps. "Jadwiga" przyjęła ode mnie przysięgę. Zostałam przydzielona do służby sanitarnej WSK i mianowana sekcyjną. Rozpoczął się okres szkolenia z zakresu udzielania pierwszej pomocy rannym. Niektóre wykłady odbywały się w moim mieszkaniu przy ul. Starościńskiej 3. Natomiast lokalem szkolenia wojskowego było mieszkanie instruktorki Krystyny Księżarczyk, znajdujące się na terenie Więzienia Mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej. (Ojciec Krystyny był pracownikiem tej instytucji.) Zajęcia praktyczne z udzielania pierwszej pomocy odbywały się w Szpitalu św. Ducha przy ul. Krakowskie Przedmieście. Asystowałyśmy tam przy operacjach i w izbie przyjęć. Uczyłyśmy się również obsługi chorych w szpitalu.

Powierzano nam też zadania niezwiązane z profilem szkolenia, np. kolportaż prasy podziemnej. Kilkakrotnie kolportowałam "Biuletyn Informacyjny". Przy tej pracy najwięcej emocji przeżyłam w roku 1942 kolportując materiały Akcji "N". Były to druki w formie gazetek opracowywane przez wydawnictwa podziemne w języku niemieckim. Celem akcji było sianie zwątpienia w ostateczne zwycięstwo III Rzeszy wśród żołnierzy i cywilów niemieckich. Otrzymane materiały należało umieszczać w przedziałach tramwajowych wydzielonych tylko dla Niemców lub w skrzynkach na listy w domach zamieszkałych przez nich. Trzeba to było robić w taki sposób, aby materiały trafiły do rąk adresata - na tym polegała główna trudność tego zadania. Otrzymanie takiego zlecenia odczytywałam zawsze jako wyróżnienie i dowód zaufania do mnie. Plan działania, tj. czas i miejsce akcji, musiałam ustalać sama. Wymagało to uprzedniego starannego rozeznania terenu. Tego rodzaju "ćwiczenia" hartowały i kształtowały nasze charaktery. Przygotowywały też do zadań znacznie trudniejszych, jakie nas czekały w niedalekiej przyszłości. Klęski Niemców na frontach wschodnim i zachodnim zbliżyły nas do tej chwili.

Do czekających nas zadań musiałyśmy przygotować się nie tylko fizycznie, ale i duchowo. Od 28.VII.1944 roku, po odwołaniu ostrego pogotowia, w kaplicy sióstr zakonnych przy ul. Kazimierzowskiej rozpoczęły się rekolekcje dla służby sanitarnej. Prowadził je o. Tomasz Roztworowski. W niedzielę 30.VII

byłam na Mszy Świętej, w czasie której wygłaszając homilię o. Roztworowski powiedział nam: "Waszym Wodzem jest Chrystus i w Imię Jego będziecie ratować życie rannym żołnierzom". Na zakończenie mszy otrzymaliśmy uroczyste błogosławieństwo dla naszej misji. Po mszy przeszliśmy do salki przylegającej do kaplicy i śpiewaliśmy piosenki żołnierskie i partyzanckie. O. Roztworowski akompaniował nam na fortepianie i śpiewał razem z nami.

1 sierpnia, godzina "W". Mój patrol otrzymał przydział do plutonu 537 dowodzonego przez ppor. "Wojtka Małego" (nazwiska nie pamiętam). Punktem koncentracji był lokal przy ul. Słonecznej 50. Celem ataku miał być "Dom Żołnierza" na ul. Klonowej. W wyniku natarcia w naszym rejonie żaden z oddziałów nie osiągnął zamierzonego celu. Stało się to na skutek przewagi wroga i braków w uzbrojeniu. Późnym wieczorem, po rozpoznaniu sytuacji, dowódca naszego V Rejonu ppłk. Aleksander Hrynkiewicz ps. "Przegonia" wydał rozkaz wycofania oddziałów do Lasów Kabackich w celu dozbrojenia. Zostało ustalone, że z mojego patrolu z plutonem 537 pójdą sanitariuszka i łączniczka. Ja z resztą patrolu postanowiłam szukać kontaktu z innymi oddziałami - słychać było odgłosy walki. Już następnego dnia na terenie opuszczonym przez powstańców pojawiły się patrole Ukraińców. Rewidowali kolejno domy poszukując ukrywających się żołnierzy. Ich ofiarami stawali się ci, którzy zrezygnowali z wymarszu do Lasów Kabackich. Wśród nich znalazło się m.in. sześciu chłopców z plutonu 537, których wydał dozorca naszego domu. Ukraińcy byli okrutni i pełni nienawiści do Polaków: dokonywali grabieży i gwałtów. W tej sytuacji należało możliwie najszybciej przedostać się na teren walczącego Mokotowa, gdyż wiadomo było, że Górny Mokotów walczy dalej. Po skierowaniu dwóch dziewczyn z mojego patrolu do pracy w szpitalu przy ul. Chocimskiej oraz rezygnacji z udziału w Powstaniu trzeciej (postanowiła wrócić do domu), pozostała ze mną Janina Kusior ps. "Lilka". Wkrótce dołączyły do nas: Irena Pęcherska ps. "Iśka", Janina Bogusz ps. "Janka", Jadwiga Mańkowska ps. "Wińcia" i "Krystyna" (nazwiska nie pamiętam). 13 sierpnia przysłała po nas łączniczka Grażyna Karlikowska ps. "Grażyna" (przysłana z dowództwa WSK). Miała nas przeprowadzić na Mokotów. Następnego dnia wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę. Szczęśliwie przedostałyśmy się, pomimo ostrzału, na teren Sielc i ulicami Chełmską i Piaseczyńską doszłyśmy do Królikarni. Zameldowałyśmy się tam w Komendzie WSK u por. Antoniny Kon... Byłyśmy wzruszone do łez serdecznym przez nią powitaniem. Tymczasem trwało obsadzanie przez nasze wojska Sadyby i Sielc, uzupełniano składy osobowe poszczególnych oddziałów. Zgłosiłam się ochotniczo i dostałam przydział do służby sanitarnej batalionu "Ryś", którym dowodził rtm. Andrzej Czaykowski ps. "Garda". Szefem służby sanitarnej tego batalionu był dr Zdobysław Czerwiński ps. "Sławek". Z osób przydzielonych do jego dyspozycji utworzył on trzy patrole liniowe. W skład mojego patrolu weszły następujące osoby: wspomniana już Janina Kusior, Maria Sawicz ps. "Sawa", Maria Baczkowska ps. "Storczyk" i "Mały" (harcerz 12-, może 14-letni, był noszowym, nazwiska nie pamiętam). Patrole zostały skierowane do poszczególnych kompanii batalionu. Nasz patrol - do kompanii "Krawiec" dowodzonej przez ppor. Stanisława Milczyńskiego ps. "Gryf".

27 sierpnia o godzinie 1-ej w nocy nasz oddział zaatakował koszary przy ul. Podchorążych. Był to fragment większego natarcia polskiego, którego celem było uzyskanie połączenia naszej dzielnicy z Powiślem. Ja i "Sawa" posuwałyśmy się z oddziałem szturmującym, reszta patrolu z noszami miała podążać za nami. Po dwugodzinnych walkach zdobyty został jeden z budynków na ul. Sieleckiej. Znalazłyśmy tam w piwnicach

pozostawione przez Niemców materiały opatrunkowe i nawet narzędzia chirurgiczne. Przekazałyśmy je potem do szpitala przy ul. Chełmskiej. W tych piwnicach urządziłyśmy punkt pierwszej pomocy. Rannych było dużo: por. "Rok", kpr. "Lech" i wielu innych, których pseudonimów już dziś nie pamiętam. Po udzieleniu pierwszej pomocy ciężiej rannych odsyłałyśmy do szpitala na Chełmskiej, lżej ranni pozostawali u nas albo wracali do oddziałów. Do dziś tkwi w mojej pamięci łączniczka Zofia Kłos ps. "Proch", która usiłowała dostarczyć nam kocioł z zupą. Kiedy szła w naszym kierunku została ciężko ranna odłamkami pocisku z granatnika. Gdy udzielałam jej pomocy, wołała: "Ja nie chcę umierać! Mam 22 lata! Chcę żyć!" Do dziś słyszę to wołanie. Mój dzielny "Mały", gdy szczęśliwie dla niego został lekko ranny w nogę, płakał i okropnie się martwił: "Co na to powie mama?". 29 sierpnia rozkazem dra "Sławka" zostałam odwołana do dowództwa batalionu. Tego dnia pod wieczór samoloty niemieckie dokonały nalotu na Sielce. Celem ich ataku był m.in. wspomniany szpital przy ul. Chełmskiej (oznakowany na dachu dużym czerwonym krzyżem...) Budynek szpitala został przeorany bombą burzącą od dachu do piwnic wzdłuż jednej z klatek schodowych i tym samym została odcięta droga ewakuacyjna dla osób znajdujących się na górnych piętrach w końcowej części budynku. Przy następnym nalocie bestialski lotnik dał dowód, że działa nie przypadkowo, lecz z pełną premedytacją, gdyż ponownie zrzucił bomby na oznakowany szpital. Tym razem były to bomby zapalające, górne piętra stanęły w płomieniach. Ranni płonęli żywcem lub skakali z okien ponosząc śmierć na skutek upadku. Zaalarmowani pobiegliśmy, aby ich ratować. W czasie akcji nie wiedziałam, że w szpitalu spłonęły moja odwazna i pełna poświęcenia "Sawa" (poszła odwiedzić naszych rannych) i "Proch".

W moim życiu przełomową datą stał się dzień 2 września 1944 roku. Jest on dla mnie symbolicznym przejściem ze świata ludzi pełnosprawnych, niosących pomoc innym, do świata pomocy tej potrzebujących. Tego dnia, w czasie generalnego ataku Niemców na Sadybę, dr "Sławek" stwierdził brak środków opatrunkowych i leków. W związku z silnym ostrzałem naszej dzielnicy nie wydał rozkazu, lecz jedynie wezwał ochotników do przyniesienia medykamentów z Górnego Mokotowa. Zgłosiłyśmy się "Lilka" i ja. Przejście z ul. Chełmskiej do gmachu Higieny (róg ulic Dolnej i Puławskiej) było stosunkowo łatwe. Powrót okazał się trudniejszy. Nacierający Niemcy atakowali Czerniaków i Sielce. Ich artyleria i lotnictwo ostrzeliwało ludność uciekającą z Sadyby. Znajdowałyśmy się wówczas na ulicy Chełmskiej w okolicy kościoła. Poszłyśmy w jego kierunku szukając chwilowego schronienia, aby przeczekać nawałę ognia. W kościele zostałyśmy zaalarmowane, że w ogrodzie obok, w altanie, są jacyś ranni i potrzebują pomocy. Pobiegłyśmy. We wnętrzu altany zdażyłam jedynie zauważyć znajdujące się tam osoby i palący się piecyk, tzw. "kozę", a na nim garnek gotujących się kartofli. Wybuch. Podmuch zdemolował piecyk obrzucając nas popiołem i obalając na ziemię. A ja w ułamku sekundy przekroczyłam próg dwóch światów...

Nie straciłam przytomności. W pierwszej chwili zauważyłam nienormalne położenie mojej lewej ręki. Sięgnęłam po nią prawą dłonią i stwierdziłam, że jest bezwładna. Przyciskając ją do piersi udało mi się wstać. Poszłam do sali przykościelnej wypełnionej modlącym się tłumem starych ludzi. Widziałam w ich oczach przerażenie wywołane moim widokiem. Prosiłam o pomoc dla rannych w altanie. Po pewnym czasie przyniesiono "Lilkę", która miała wyrwaną część łydki w pobliżu kolana i nie mogła iść o własnych siłach. Poprosiłam młodą dziewczynę, która przyglądała się nam z uwagą, aby założyła opatrunki uciskowe i zabandażowała rany. Podpowiadałam jej co ma robić. Ponieważ stopniowo traciłam siły a ból narastał, na moją



prośbę podała nam po kilka kropli opium, które miałam przy sobie. Prosiłam ją też o zawiadomienie naszego dowództwa. O zmierzchu zjawił się dr "Sławek" z noszowymi. Zaaplikował nam zastrzyki z morfiny. W czasie transportu do szpitala przy ul. Dolnej miałam uczucie wielkiej błogości. Właściwy opatrunek został wykonany dopiero następnego dnia rano przez dra Michała Zawadzkiego ps. "Michał". Wówczas okazało się, że pierwszy opatrunek był wykonany niefachowo. Za słaby ucisk nie tamował upływu krwi i nastąpiło znaczne wykrwawienie organizmu. Ustalono, że mam potrząskane kości stawu łokciowego ze sterczącymi na zewnątrz kostnymi drzazgami. Ponieważ dnia poprzedniego miałam aplikowane silne środki znieczulające, których nie można było przedawkować, musiano te drzazgi odrywać od ciała bez znieczulenia. Stwierdzono także, iż w udzie tkwi dużych rozmiarów odłamek. Położenia innych odłamków nawet nie ustalano. Dopiero po wojnie odkrywano przy prześwietleniach tkwiące w różnych miejscach ciała obce. Na zabieg, co prawda z trudem, ale poszłam o własnych siłach. W drodze powrotnej musiano mnie nieść, gdy po wejściu na stopnie schodów straciłam przytomność. Od tego momentu stan mego zdrowia zaczął się pogarszać.

W jakże odmiennych warunkach i sytuacji, w porównaniu z jesienią 1939 roku - gdy opiekowałam się rannymi w Szpitalu Ujazdowskim, musiałam przeżyć własne rany i kalectwo. Wtedy warunki, jakie można było stworzyć rannym żołnierzom Września (dla polepszenia których nie szczędziłam wysiłku będąc młodą i silną), wydały mi się nader skromne. Teraz przeżyłam gehennę piwnicznych powstańców szpitali, braku leków i elementarnych warunków sanitarnych. Zaczęło się znośnie. W szpitalu na ul. Dolnej korzystałam z prawie normalnych warunków szpitalnych: leżałam w łóżku z czystą pościelą w widnej izbie szkolnej. Trwało to jednak niedługo. W trzecim dniu mego pobytu szpital został ostrzelany pociskami raketowymi, tzw. "krowami". Zналиśmy skutki działania tej broni i wiedzieliśmy, że od chwili usłyszenia charakterystycznego dźwięku (start rakiet) do wybuchu jest kilka sekund na szukanie schronienia. Toteż kiedy usłyszeliśmy "porykiwanie krowy", wszyscy poderwali się, aby schronić się w piwnicy. "Lilkę", która była lekka i mała, ktoś wziął na ręce. Ja usiłowałam się ratować sama. Instynktownie poderwałam się chwytając zdrową ręką za ramię przebiegającą koło mnie osobę. Nie wiem, kiedy znalazłam się w piwnicy, ponieważ straciłam po paru krokach przytomność. W nocy ewakuowano nas do piwnic domu przy ul. Raclawickiej 3. W owym czasie, dla zapewnienia bezpiecznego przejścia wzdłuż tej ulicy, korytarze piwniczne sąsiednich domów były połączone otworami w ścianach. Leżąc blisko takiego otworu byłam wielokrotnie potrącana w chorą nogę przez przechodzących, gdyż moje stopy wystawały poza zbyt krótki materac. Następnej nocy przeniesiono nas do szpitala polowego przy ul. Misyjnej. Byliśmy tam pod opieką dra Tadeusza Blocha ps. "Mikrob" i dr Kazimierzy Komunickiej. Stan mojego zdrowia znów zaczął się pogarszać: w ranach pojawiła się ropa. Nie było możliwości przeprowadzenia operacji.

Tymczasem sytuacja na froncie z każdym dniem była bardziej niepokojąca. Z wiadomości, jakie do nas docierały, wiedzieliśmy, że skoncentrowane siły niemieckie dążą do możliwie najszybszego opanowania naszego terenu. Po dniach pełnych entuzjazmu i optymizmu przysły coraz to dłuższe chwile zwątpienia i niepewności. Oparciem duchowym był dla nas ks. kapelan Jan Zieja, który po odprawieniu w naszej piwnicy mszy św. udzielił nam sakramentu chorych. 26 września dotarła do nas wiadomość, że wojsko ewakuuje się kanałami do Śródmieścia. Zostajemy bezbronni. Zostawia się nas na pastwę losu. Do późnej nocy słyszemy jeszcze odgłosy walki. Nad ranem strzały ucichły. Ktoś przyniósł wiadomość o kapitulacji Mokotowa. Nastąpił koniec wszelkich nadziei i marzeń o wolności. Przysły chwile napięcia i niepewności o jutro. Krążyły w głowie

różne myśli. Jaki los nas czeka, może rozstrzelają nas lub spalą? Modliłam się gorąco o to, aby strzał był celny, aby nie zostać ponownie ranną.

Chwile wyczekiwania wlokły się w nieskończoność. Nagle usłyszeliśmy dudnienie ciężkich kroków, nawoływania po niemiecku. Po chwili wbiegło po schodkach kilku Niemców z automatami gotowymi do strzału. Krzyczeli: "Raus! Austreten! Schneller!" - kierując w naszą stronę lufy. Widziałam jak koledzy, przynaglani przez żołnierzy, podnoszą się z posłań. Byłam bezradna. Leżałam i czekałam na dalszy rozwój wypadków. Zabrano też ks. Zięję, dra Blocha oraz personel szpitala. Wszystkich poprowadzono w nieznanym kierunku. Dr Komuniecką udało się ukryć. W dalszym ciągu pozostawała niepewność i oczekiwanie: co z nami zrobią? Dopiero po południu zjawił się wyższej rangi oficer wermachtu z asystą i po zlustrowaniu powiadomił nas, że w dniu następnym będziemy ewakuowani. Nazajutrz podstawiono podwody. Dowiedzieliśmy się, że będziemy przewiezieni na bocznice kolejową przy Wyścigach Konnych na Służewcu. Po przewiezieniu na teren Wyścigów ulokowano nas w stajniach. Z pomocą przyszła nam RGO: rozdano białą pościelową, owoce i cebulę. Po kilku godzinach zostały podstawione otwarte towarowe wagony, do których zaczęto przenosić rannych. Trwało to aż do zapadnięcia zmierzchu. W pewnej chwili ja i "Dolores" (była również ranna) zauważyłyśmy z przerażeniem, że jesteśmy ostatnie w ciemnym końcu stajni. Nikt po nas nie przychodził i nie widziałyśmy nikogo w pobliżu. Wreszcie pojawił się ktoś z latarnią. Był to lotnik niemiecki, który na nasze wołanie wezwał swoich kolegów i wyniesiono nas na zewnątrz stajni przekazując chłopom noszącym rannych. Kiedy niesiono mnie wzdłuż wagonów, wołałam: "Doktor Komuniecka!". W odpowiedzi usłyszałam głos "Lilki": "Tu, tu!". Wagon był już przepelniony, gdy wciągnięto mnie do środka. Okazało się, że aby można było zamknąć drzwi wagonu, muszę zgiąć nogi. Wywoływało to ból w rannym udzie. Po wielu godzinach jazdy w takiej pozycji dopiero następnego dnia rano zatrzymaliśmy się w Milanówku. Wsiadały tam m.in. osoby zabrane z warszawskich domów starców. Leżących na noszach lub materacach przeniesiono do dużej sali widowiskowej i położono na podłodze. W sali kłębił się tłum starszków lokowanych tu z różnych transportów. Dr Komuniecka poinformowała mnie, że ona z pozostałymi osobami naszej grupy będzie szukać jakiegoś innego miejsca i że jest mi potrzebna natychmiastowa operacja: muszę dostać się do szpitala. A ja byłam bardzo spragniona i głodna. Poprosiłam chłopców, którzy przynieśli mnie z peronu, aby kupili coś do picia i jedzenia. Dałam im pieniądze z otrzymanego żołdu. Przynieśli mi półlitrową butelkę mleka i dwie kajzerki z masłem. Nigdy przedtem i potem nie czułam tak wspaniałego smaku mleka i bułki.

Tych samych chłopców poprosiłam, aby jutro przyszli z noszami i zanieśli mnie do najbliższego szpitala. Zgodnie z umową zjawili się rano. Zanieśli mnie i położyli na trawniku przy wejściu do willi, w której mieścił się szpital (ul. Słowackiego 5). Sami ukryli się i obserwowali, co się ze mną stanie. Musiał mnie ktoś zauważyć, ponieważ po chwili wyszedł lekarz (był to doc. dr Krotowski). Nie mówiąc ani słowa odrzuciłam zdrową ręką piernat, którym byłam przykryta. Zobaczywszy w jakim jestem stanie kazał mnie przenieść do sali opatrunkowej. Po wniesieniu do wnętrza ktoś zawołał moje imię - była to "Storczyk", wspomniana już sanitariuszka z mojego patrolu. Zmieniającym jej opatrunek lekarzem był... dr Sawicz - ojciec "Sawy". Okazało się, że dziwnym zrzędzeniem losu znalazłam się w ewakuowanym tutaj z Warszawy Szpitalu Ujazdowskim. Dr Sawicz oraz jego żona otoczyli mnie serdeczną opieką. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Natychmiast wykonano pierwszą operację. Łóżko, czysta pościel. Po czterech dniach operowano mnie po raz drugi, ponieważ po

pierwszej operacji nie było oczekiwanej poprawy. Odwiedził mnie też ks. Zieja wypełniający swoją duszpasterską służbę. Od niego otrzymałam wówczas obrazek z symbolem Serca Jezusowego, który stał się dla mnie ołtarzem. Przed nim modliłam się wtedy i modłę się do dziś. W tym samym czasie odnalazła mnie sanitariuszka z zespołu dra "Sławka" Wanda Siemińska ps. "Wanda". Dowiedziałam się od niej, że rtm. "Garda" został kontuzjowany i po zakończeniu walk na Sielcach przekazał dowództwo kpt. Jackowi Januszowi Wyszogrodzkiemu ps. "Janusz". "Wanda" po przejściu na tyły pisała m.in. wnioski o awanse i odznaczenia, wśród nich o Krzyż Walecznych dla mnie. Sprawiała mi tą informacją dużą przyjemność. Podjęła się też zawiadomić moją rodzinę. Pewnego dnia niespodziewanie zobaczyłam stojącą w drzwiach moją matkę. Było zaskoczenie i ogromna radość. Na mój okrzyk: "Mamo!" - z wrażenia upadła zemdlna na podłogę. Przed przyjściem do mnie widziała się z drem Sawiczem i ten przekonywał ją o konieczności amputacji ręki. Mama w pierwszej chwili nie chciała się na to zgodzić. Dr Sawicz argumentując o potrzebie amputacji powiedział: "Ja bym nosił nawet kadłub swojej córki, aby tylko żyła". To przeważało. Kiedy dowiedziałam się o tej decyzji, zaczęłam błagać, aby jeszcze poczekano. Mówiłam, że nie mam ojca i muszę pracować, że się modłę i może Bóg wysłucha mojej prośby. Rzeczywiście stał się cud. W nocy obudziłam się pod wpływem silnego bólu w ranach. Przerazona wołałam o pomoc. Doc. Krotowski spojrział na moją rękę: bandaże oblepione były białymi robakami. To larwy muchy stajennej. "Aniołku, tyś cudu doznała. One uratują ci rękę" - powiedział. Trudno jest wyobrazić sobie cierpienia, jakie musiałam znieść. Cierpiałam jednak z myślą o wyzdrowieniu. Gryzłam pościel i własne wargi. Po dwóch tygodniach rany zostały oczyszczone na tyle, że nastąpił proces gojenia.

Rodzina rozpoczęła starania o przeniesienie mnie do szpitala w Zyrardowie. Szpital Ujazdowski miał być ewakuowany z Milanówka do Krakowa. Należało uzyskać zgodę na przyjęcie mnie do zyrardowskiego szpitala. W otrzymaniu tej zgody pomogła mi ppor. Magdalena Grzybowska ps. "Growska". 1 listopada przyjechał po mnie z moją mamą por. Stanisław Ołdakowski ps. "Okon" - dowódca placówki sabotażu i dywersji na tym terenie, a poza tym mój szwagier. Nie było zezwolenia na przejazd z Milanówka do Zyrardowa. Mimo to przewieziono mnie: na furze, polnymi drogami, w czasie mżącego deszczu. W końcu listopada usunięto wreszcie, bez znieczulenia, największy odłamek z uda. Rana zaczęła się goić i mogłam rozpocząć naukę chodzenia. 16 grudnia w szpitalu zjawili się dwaj umundurowani gestapowcy z tłumaczem. Całe szczęście, że tego dnia leżałam w łóżku. Zauważyłam ich, gdy rozmawiali z drem Grabowskim w pokoju przylegającym do naszej sali. W tym czasie była u mnie mama. Siedziała obok mego łóżka na obrotowym stołku. W chwili, gdy spostrzegłam idących w naszym kierunku gestapowców, wiedzioną instynktem, powiedziałam: "Mamo odwróć się i rozmawiaj z sąsiadką". Niemcy podeszli. Widzieli sterczącą, unieruchomioną na drucianym stelażu rękę i bladą twarz dziewczyny - udawałam obłożnie chorą. Interesowali się gdzie i w jakich okolicznościach zostałam ranna. Oczywiście zmyśliłam jakąś opowieść. Dr Grabowski, który był przy przesłuchaniu, potwierdził mój zły stan i że nie nadają się do transportu. Został więc zobowiązany do powiadomienia gestapo o poprawie mojego zdrowia. Niemym świadkiem tej rozmowy była matka. Siedząc tyłem do mnie uniknęła ewentualnych pytań. Po wyjściu Niemców, drżąca i roztrzęsiona, starała się ukryć to przede mną, aby nie pogarszać stanu moich nerwów. Dopiero po przejściu sześciu kilometrów po głębokim śniegu i pod wpływem przeżytego zdarzenia upadła zemdlna przed domem.

I/118

W połowie stycznia Niemcy z zaplecza frontu zaczęli opuszczać miasto. Pierwsze oddziały wojsk sowieckich dotarły pod Zyrardów. Po słabym oporze hitlerowców 17 stycznia do Zyrardowa wkroczyła Armia Czerwona. Schwagier wiedząc o aresztowaniach żołnierzy Armii Krajowej zabrał mnie ze szpitala i przewiózł do swojej placówki we wsi Wiskitki, pod Zyrardowem. Jechaliśmy na furze główną ulicą miasta, wśród rozradowanych mieszkańców i strzelających na wiwat żołnierzy. Dla nich był to dzień zwycięstwa i wolności, dla mnie jedynie zmiana prześladowcy. Gnębiło mnie uczucie zawodu i smutku. Nie witano bliskich memu sercu żołnierzy Armii Krajowej. Ci musieli czekać na pełne uznanie i zwycięstwo idei, o którą walczyli z takim poświęceniem i trudem, aż 45 lat.

Zofia Jastrzębska-Kowalewska

*Zofia Kowalewska*



Okresowy zan  
w. Iw. wojenny archiw. <sup>zan główny</sup> 1992. Inq  
San Biulety 7/8 i 9. str [6-7-8] sierpień I/19  
Sanhluosim in wresień 7-8. 1994  
Andreje Boboli

5. 05. 1923 - Julian i Skwistawa.

jesień 1940 r. patrolowa sanitarna.

palcos powab. sanit. liniona. urotm. <sup>10ara</sup> gardy gnyf w szelaki  
Bartelali Mokotaw 1944 str. 342, 425, 474, 655



Wpłynęło dnia 22. 07. 96

I/110

L.dz. 1383/455/96

**Zofia Jastrzębska - Kowalewska**



**Moje wspomnienia wojenne**



## *Moje wspomnienia wojenne*

### *Polski wrzesień - początek okupacji*

Dzisiaj gdy usiłuję odtworzyć swoje przeżycia wojenne, zauważam, jak wielką rolę w moim życiu odegrały patriotyczne postawy ludzi z mego otoczenia. Przede wszystkim ojciec, Julian Jastrzębski ps. "Chuligan" (zm. 1936 r), który w wieku młodzieńczym jako członek PPS walczył z caratem. W roku 1905 brał udział w zamachu na przedstawiciela carskiej władzy. Został aresztowany i uwięziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Jako dziecko z ciekawością słuchałam opowiadań na ten temat. Ojciec był wielbicielem marszałka Józefa Piłsudskiego. Do końca życia pozostał mu wierny. Podczas wyborów głosował otwarcie na listę piłsudczykowską: idąc do urny ostentacyjnie wkładał za wstążkę swojego melonika kartkę z numerem pierwszym. Jeszcze bardziej imponował mi mój stryj i jednocześnie ojciec chrzestny - rtm Karol Jastrzębski. Był on weteranem pierwszej wojny światowej i wojny z bolszewikami w 1920 roku. Jako ułan Legionu Puławskiego został trzykrotnie ranny, w wyniku czego pozostał mu trwały niedowład prawej ręki. Za odwagę i męstwo został odznaczony orderem *Virtuti Militari*. Mam jako pamiątkę rodzinną kopię legitymacji upoważniającą do noszenia tego odznaczenia. U rodziny do dziś zachował się oryginał tej legitymacji oraz noszony przez stryja krzyż. Pamiętam jak przyjeżdżał do nas konno z ordynansem... Trzecią osobą, którą pragnęłam naśladować była Antonina Kon.

Antonina Kon - komendantka hufca P.W. w naszej Szkole. To ona przygotowywała nas do służby Ojczyźnie, abyśmy w razie potrzeby mogli stanąć w jej obronie. Byliśmy, jak wszyscy młodzi, pewne zwycięstwa nad każdym wrogiem, który śmiałby zaatakować Polskę. Żadna z nas nie przypuszczała wówczas, że wojna, która wybuchnie, może być wojną przegraną, że będzie nas czekało długich pięć lat walki podziemnej. Moim dziewczęcym marzeniem była służba sanitarna w wojsku. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniłam stając się członkiem i następnie prezesem szkolnego koła PCK. Wobec narastającego zagrożenia ze strony Rzeszy Niemieckiej zaczęto organizować środki obrony. Zgłosiłam się ochotniczo do służby w placówce LOPP mieszczącej się w naszym domu. Wkrótce przewidywana wojna stała się faktem. To już nie były alarmy próbne, bomby zaczęły spadać naprawdę. W czasie dyżurów trzeba było pokonać lęk o własne życie i stać na posterunku. Te przeżycia były jedynie wstępem do tego, co miało nastąpić... Jednych to załamywało i wtrącało w apatię, innych - mobilizowało do dalszej walki. Wśród tych drugich była Antonina Kon.

Od niej otrzymałyśmy nasze pierwsze zadanie: roztoczyć opiekę nad rannymi żołnierzami wojska polskiego w szpitalach warszawskich. Po instrukcje miałyśmy się zgłosić do p. Binzer - właścicielki domu przy ul. Flory 1. Pani Binzer skłoniła lokatorów swego domu, a także lokatorów Spółdzielni Mieszkaniowej z ul. Filtrowej do ofiarowania codziennie porcji obiadu dla dożywienia rannych żołnierzy. Początkowo pobierałyśmy obiady z ul. Filtrowej i nosiłyśmy je do filii Szpitala Ujazdowskiego przy ul. Sniadeckich 7 (gmach szkolny). Następnie zaczęłyśmy odbierać obiady z ul. Flory i nosić je do Szpitala Ujazdowskiego. Nosiłyśmy te obiady w menażkach lub innego rodzaju naczyniach. W szpitalu należało potrawy odgrzać, nakarmić rannych i umyty sprzęt odnieść z powrotem. Nasza działalność była jednym z wielu przykładów postawy społeczeństwa w owym czasie. Chciałabym w tym miejscu wspomnieć o Panu Michale Wiśniowskim, w którego Fabryce Ciast i Cukierków wtedy pracowałam. Z jego polecenia przed świętami Bożego Narodzenia w 1939 roku szykowałyśmy paczki, które były wysyłane żołnierzom polskim znajdującym się

w obozach jenieckich na terenie Rzeszy. To ośmieliło mnie do zwrócenia mu uwagi na podobne potrzeby rannych żołnierzy w znanym mi Szpitalu Ujazdowskim.

Odtąd przez następne lata przed każdym Bożym Narodzeniem i Wielkanocą pacjenci Szpitala otrzymywali od niego za moim pośrednictwem paczki ze słodyczami. Mój kontakt z pacjentami pozwolił mi dostrzec dwie kategorie chorych. Jednych - albo otoczonych troskliwą opieką przez rodziny lub osoby im bliskie, albo lekko rannych, więc mogących poradzić sobie samodzielnie, i drugich najczęściej poszkodowanych - psychicznie chorych, a przede wszystkim tych, którzy przy braku obu rąk lub innych ciężkich obrażeniach wymagali karmienia. Wielu spośród tych drugich byli to ludzie samotni i opuszczeni, nieodwiedzani przez nikogo, pochodzący przeważnie ze wsi. To ich właśnie postanowiliśmy otoczyć szczególną opieką. Na pierwszą okupacyjną Wieczernę Wigilijną każda z nas zaprosiła jednego z samotnych żołnierzy. W następnych latach, dzięki lepszej organizacji wspólne Wigilie dla pacjentów były urządzone na terenie Szpitala.

*Przed godziną "W"*

Zimą 1939 roku otrzymałyśmy od instruktorki P.W. Ewy Dąbrowskiej polecenie odebrania z magazynów przy ul. Okopowej dużej ilości wojskowych opatrunków osobistych produkcji angielskiej i przechowania ich w domach. Zapełniłam nimi dwie duże szuflady w komodzie. Te opatrunki były bezcenne w czasie Powstania Warszawskiego.

Na wiosnę 1940 roku Antonina Kon ps. "Jadwiga" odebrała ode mnie przysięgę. Przyjęłam pseudonim "Zosia". Zostałam przydzielona do służby sanitarnej WSK i mianowana sekcijną. Rozpoczął się okres szkolenia z zakresu udzielania pierwszej pomocy rannym. Niektóre wykłady odbywały się w moim mieszkaniu przy ul. Starościeńskiej 3. Natomiast lokalem szkolenia wojskowego było mieszkanie instruktorki Krystyny Książarczyk, znajdujące się na terenie Więzienia Mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej. ( Ojciec Krystyny był pracownikiem tej instytucji ) Zajęcia praktyczne z udzielania pierwszej pomocy odbywały się w Szpitalu św. Ducha przy ul. Krakowskie Przedmieście. Asystowałyśmy tam przy operacjach i w izbie przyjęć. Uczyłyśmy się też obsługi rannych w szpitalu.

Powierzano nam również zadanie niezwiązane z profilem szkolenia, np. kolportaż prasy podziemnej. Kilkakrotnie kolportowałam "Biuletyn Informacyjny". Przy tej pracy najwięcej emocji przeżyłam w roku 1942 kolportując materiały Akcji "N". Były to druki w formie gazetki opracowywane przez wydawnictwa podziemne w języku niemieckim. Celem akcji było sianie zwątpienia w ostateczne zwycięstwo III Rzeszy wśród żołnierzy i cywilów niemieckich. Otrzymane materiały należało umieszczać w przedziałach tramwajowych przeznaczonych tylko dla Niemców lub w skrzynkach na listy w domach zamieszkałych przez nich. Trzeba to było robić taki sposób, aby materiały trafiły do rąk adresata - na tym polegała główna trudność tego zadania. Otrzymanie takiego zlecenia odczytywałam zawsze jako wyróżnienie i dowód zaufania do mnie. Plan działania, tj. czas i miejsce akcji, musiałam ustalać sama. Wymagało to uprzedniego starannego rozeznania terenu. Tego rodzaju "ćwiczenia" hartowały i kształtowały nasze charaktery. Przygotowywały też do zadań znacznie trudniejszych jakie nas czekały w niedalekiej przyszłości. Klęski Niemców na frontach wschodnim i zachodnim zbliżały nas do tej chwili.

Do czekających nas zadań musiałyśmy przygotować się nie tylko fizycznie ale i duchowo. Od 28.VII.1944 roku, po odwołaniu ostrego pogotowia, w kaplicy sióstr zakonnych przy ul. Kazimierzowskiej rozpoczęły się rekolekcje dla służby sanitarnej. Prowadził je o. Tomasz Roztworowski. W niedzielę 30.VII byłam na mszy świętej, w czasie której wygłaszając homilię o. Roztworowski powiedział nam: "Waszym Wodzem jest Chrystus i w imię Jego będziecie ratować życie rannym żołnierzom".



Na zakończenie mszy otrzymaliśmy uroczyste błogosławieństwo dla naszej misji. Po mszy przeszliśmy do salki przylegającej do kaplicy i śpiewaliśmy piosenki żołnierskie i partyzanckie. O. Roztworowski akompaniował na fortepianie i śpiewał razem z nami.

### *Sierpniowe walki powstańcze*

1 sierpnia godzina "W". Mój patrol otrzymał przydział do plutonu 537 dowodzonego przez ppor. "Wojtkę Małego" (nazwiska nie pamiętam). Punktem koncentracji był lokal przy ul. Słonecznej 50. Celem ataku miał być "Dom Żołnierza" na ul. Klonowej. W wyniku natarcia w naszym rejonie żaden z oddziałów nie osiągnął zamierzonego celu. Stało to się na skutek, przewagi wroga i braków w uzbrojeniu. Późnym wieczorem, po rozpoznaniu sytuacji, dowódca naszego V Rejonu ppłk. Aleksander Hrynkiewicz ps. "Przegonia" wydał rozkaz wycofania oddziałów do Lasów Kabackich celem dozbrojenia. Zostało ustalone, że z mojego patrolu z plutonem 537 pójda sanitariuszka i łączniczka. Ja z resztą patrolu postanowiłam szukać kontaktu z innymi oddziałami - słychać było odgłosy walki. Już następnego dnia na terenie opuszczonym przez powstańców pojawiły się patrole Ukraińców. Rewidowali kolejno domy poszukując ukrywających się żołnierzy. Ich ofiarami stawali się ci, którzy zrezygnowali z wymarszu do Lasów Kabackich. Wśród nich znalazło się m.in. sześciu chłopców z plutonu 537, których wydał dozorca naszego domu. Ukraińcy byli okrutni i pełni nienawiści do Polaków, dokonywali grabieży i gwałtów. W tej sytuacji należało możliwie najszybciej przedostać się na teren walczącego Mokotowa, gdyż wiadomo było, że Górny Mokotów walczy dalej. Po skierowaniu dwóch dziewczyn z mojego patrolu do pracy w szpitalu przy ul. Chocimskiej oraz rezygnacji z udziału w Powstaniu trzeciej (postanowiła wrócić do domu), pozostała ze mną Janina Kusior ps. "Lilka". Wkrótce dołączyły do nas: Irena Pęcherska ps. "Iśka", Janina Bogusz ps. "Janka", Jadwiga Mańkowska ps. "Wińcia" i "Krystyna" (nazwiska nie pamiętam). 13 sierpnia przysłała do nas łączniczka Grażyna Karlikowska ps. "Grażyna" (przysłana z dowództwa WSK). Miała nas przeprowadzić na Mokotów. Następnego dnia wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę. Szczęśliwie przedostałyśmy się mimo ostrzału, na teren Sielc i ulicami Chełmską i Piaseczyńską doszłyśmy do Królikarni. Zameldowałyśmy się tam w Komendzie WSK u por. Antoniny Kon. Byłyśmy wzruszone do łez serdecznym przez nią powitaniem. Tymczasem trwało obsadzanie przez nasze wojska Sadyby i Sielc, uzupełniano składy osobowe poszczególnych oddziałów. Zgłosiłam się ochotniczo i dostałam przydział do służby sanitarnej batalionu "Ryś", którym dowodził rtm Andrzej Czaykowski ps. "Garda". Szefem służby sanitarnej tego batalionu był dr Zdobysław Czerwiński ps. "Sławek". Z osób przydzielonych do jego dyspozycji utworzył on trzy patrole liniowe. W skład mojego patrolu weszły następujące osoby: wspomniana już Janina Kusior, Maria Sawicz ps. "Sawa", Maria Baczkowska ps. "Storczyk" i "Mały" (harczerz 12-, może 14 letni, był noszowym, nazwiska nie pamiętam). Patrole zostały skierowane do poszczególnych kompanii batalionu. Nasz patrol do kompanii "Krawiec" dowodzonej przez ppor. Stanisława Milczyńskiego ps. "Gryf".

27 sierpnia nasz oddział zaatakował koszary przy ul. Podchorążych. Był to fragment większego natarcia polskiego, którego celem było uzyskanie połączenia naszej dzielnicy z Powiślem. Ja i "Sawa" posuwałyśmy się z oddziałem szturmującym, reszta patrolu z noszami

miała podążać za nami. Po dwugodzinnych walkach zdobyty został jeden z budynków na ul. Sieleckiej. Znalazłyśmy tam w piwnicach pozostawione przez Niemców materiały opatrunkowe a nawet narzędzia chirurgiczne. Przekazałyśmy je potem do szpitala przy ul. Chełmskiej. W piwnicach urządziłyśmy punkt pierwszej pomocy. Rannych było dużo: por. "Rok", kpr. "Lech" i wielu innych, których pseudonimów już dziś nie pamiętam. Po udzieleniu pierwszej pomocy ciężej rannych odsyłałyśmy do szpitala na Chełmskiej, lżej ranni pozostawali u nas albo wracali do oddziałów. Do dziś tkwi w mojej pamięci łączniczka Zofia Kłós ps. "Proch", która usiłowała dostarczyć nam kocioł z zupą. Kiedy szła w naszym kierunku została ciężko ranna odłamkami pocisku z granatnika. Gdy udzielałam jej pomocy, wołała: "Ja nie chcę umierać! Mam 22 lata! Chcę żyć!" Do dziś słyszę to wołanie. Mój dzielny "Mały", gdy szczęśliwie dla niego został lekko ranny w nogę, płakał i okropnie się martwił: "Co na to powie mama?" 29 sierpnia rozkazem dra "Sławka" zostałam odwołana do dowództwa batalionu. Tego dnia pod wieczór samoloty niemieckie dokonały nalotu na Sielce. Celem ich ataku był m.in. wspomniany szpital przy ul. Chełmskiej (oznakowany na dachu dużym czerwonym krzyżem...). Budynek szpitala został przeorany bombą burzącą od dachu do piwnic wzdłuż jednej z klatek schodowych i tym samym została odcięta droga ewakuacyjna dla osób znajdujących się na górnych piętrach w końcowej części budynku. Przy następnym nalocie bestialski lotnik dał dowód, że nie działał przypadkowo, lecz z pełną premedytacją, gdyż ponownie zrzucił bomby na oznakowany szpital. Tym razem były to bomby zapalające, górne piętra stanęły w płomieniach. Ranni płonęli żywcem lub skakali z okien ponosząc śmierć na skutek upadku. Zaalarmowani pobiegliśmy, aby ich ratować. W czasie akcji nie wiedziałam, że w szpitalu spłonęły moja odważna i pełna poświęcenia "Sawa" (poszła odwiedzić naszych rannych) i "Proch".

### *Dni klęski*

W moim życiu przełomową datą stał się dzień 2 września 1944 roku. Jest on dla mnie symbolicznym przejściem ze świata ludzi pełnosprawnych, niosących pomoc innym, do świata pomocy tej potrzebujących. Tego dnia w czasie generalnego ataku Niemców na Sadybę, dr "Sławek" stwierdził brak środków opatrunkowych i leków. W związku z silnym ostrzałem naszej dzielnicy nie wydał rozkazu, lecz jedynie wezwał ochotników do przyniesienia medykamentów z Górnego Mokotowa. Zgłosiłyśmy się "Lilka" i ja. Przejście z ul. Chełmskiej do gmachu Higieny (róg ul. Dolnej i Puławskiej) było stosunkowo łatwe. Powrót okazał się trudniejszy. Nacierający Niemcy atakowali Czerniaków i Sielce. Ich artyleria i lotnictwo ostrzeliwało ludność uciekającą z Sadyby. Znajdowałyśmy się wówczas na ul. Chełmskiej w okolicy kościoła. Poszłyśmy w jego kierunku szukając chwilowego schronienia, aby przeczekać nawałę ognia. W kościele zostałyśmy zaalarmowane, że w ogrodzie obok, w altanie są jacyś ranni i potrzebują pomocy. Pobiegłyśmy. We wnętrzu altany zdążyłam jedynie zauważyć znajdujące się tam osoby i palący się piecyk, tzw. "kozę", a na nim garnek gotujących się kartofli. Wybuch. Podmuch zdemolował piecyk obrzucając nas popiołem i obalając na ziemię. A ja w ułamku sekundy przekroczyłam próg dwóch światów...

Nie straciłam przytomności. W pierwszej chwili zauważyłam nienormalne położenie mojej lewej ręki. Sięgnęłam po nią prawą dłońią i stwierdziłam, że jest bezwładna. Przyciskając ją do piersi udało mi się wstać. Poszłam do sali przykościelnej wypełnionej modlącym się tłumem starych ludzi. Widziałam w ich oczach przerażenie wywołane moim widokiem. Prosiłam o pomoc dla rannych w altanie. Po pewnym czasie przyniesiono "Lilkę", która miała wyrwaną część łydki w pobliżu kolana i nie mogła iść o własnych siłach. Poprosiłam młodą dziewczynę, która przyglądała się nam z uwagą, aby założyła opatrunki uciskowe i zabandażowała rany. Podpowiadałam jej co ma robić. Ponieważ stopniowo traciłam siły a ból narastał, na moją prośbę podała nam po kilka kropli opium, które

miałam przy sobie. Prosiłam ją też o zawiadomienie naszego dowództwa. O zmierzchu zjawił się dr "Sławek" z noszowymi. Zaaplikował nam zastrzyki z morfiny. W czasie transportu do szpitala przy ul. Dolnej miałam uczucie wielkiej błogości. Właściwy opatrunek został wykonany dopiero następnego dnia rano przez dra Michała Zawadzkiego ps. "Michał". Wówczas okazało się, że pierwszy opatrunek był wykonany niefachowo. Za słaby ucisk nie tamował upływu krwi i nastąpiło znaczne wykrwawienie organizmu. Ustalono, że mam potrząskane kości stawu łokciowego ze sterczącymi na zewnątrz drzazgami kostnymi. Ponieważ dnia poprzedniego miałam aplikowane silne środki znieczulające, których nie można było przedawkować, musiano te drzazgi odrywać od ciała bez znieczulenia. Stwierdzono także, iż w udzie tkwi dużych rozmiarów odłamek. Położenia dwóch innych odłamków nawet nie ustalano. Dopiero po wojnie odkrywano przy prześwietleniach tkwiące w różnych miejscach ciała obce. Na zabieg, co prawda z trudem, ale poszłam o własnych siłach. W drodze powrotnej musiano mnie nieść, gdy po wejściu na stopnie schodów straciłam przytomność. Od tego momentu stan mego zdrowia zaczął się pogarszać.

### *W szpitalu*

W jakże odmiennych warunkach i sytuacji, w porównaniu z jesienią 1939 roku - gdy opiekowałam się rannymi w Szpitalu Ujazdowskim, musiałam przeżyć własne rany i kalectwo. Wtedy warunki, jakie można było stworzyć rannym żołnierzom Września (dla polepszenia których nie szczędziłam wysiłku będąc młodą i silną), wydały mi się nader skromne. Teraz przeżyłam gehennę piwnicznych powstańczych szpitali, braku leków i elementarnych warunków sanitarnych. Zaczęło się znośnie. W szpitalu na Dolnej korzystałam z prawie normalnych warunków szpitalnych leżałam w łóżku z czystą pościelą w widnej izbie szkolnej. Trwało to jednak niedługo. W trzecim dniu mego pobytu szpital został ostrzelany pociskami rakietowymi, tzw. "krowami". Zналиśmy skutki działania tej broni i wiedzieliśmy, że od chwili usłyszenia charakterystycznego dźwięku (start rakiet) do wybuchu jest kilka sekund na szukanie schronienia. Toteż kiedy usłyszeliśmy "porykiwanie krowy", wszyscy poderwali się, aby schronić się w piwnicy. "Lilkę" która była lekka i mała, ktoś wziął na ręce. Ja usiłowałam ratować się sama. Instynktownie poderwałam się chwytając za ramię przebiegającą obok mnie osobę. Nie wiem kiedy znalazłam się w piwnicy, ponieważ po paru krokach straciłam przytomność. W nocy ewakuowano nas do piwnic domu przy ul. Raclawickiej 3. W owym czasie dla zapewnienia bezpiecznego przejścia wzdłuż tej ulicy, korytarze piwniczne sąsiednich domów były połączone otworami w ścianach. Leżąc blisko takiego otworu byłam wielokrotnie potrącana w chorą nogę przez przechodzących, gdyż moje stopy wystawały poza zbyt krótki materac. Następnej nocy przeniesiono nas do szpitala polowego przy ul. Misyjnej. Byliśmy tam pod opieką dra Tadeusza Blocha ps. "Mikrob" i dr Kazimierzy Komunieckiej. Stan mojego zdrowia znów zaczął się pogarszać w ranach pojawiła się ropa. Nie było możliwości przeprowadzenia operacji.

Tymczasem sytuacja na froncie z każdym dniem była bardziej niepokojąca. Z wiadomości jakie do nas docierały, wiedzieliśmy, że skoncentrowane siły niemieckie dążą do możliwie najszybszego opanowania naszego terenu. Po dniach pełnych optymizmu i entuzjazmu przyszły coraz to dłuższe chwile zwątpienia i niepewności. Oparciem duchowym był dla nas ks. kapelan Jan Zieja, który po odprawieniu w naszej piwnicy mszy św. udzielił nam sakramentu chorych. 26 września dotarła do nas wiadomość, że wojsko ewakuuje się kanałami do Śródmieścia. Zostajemy bezbronni. Zostawia się nas na pastwę losu. Do późnej nocy słyszymy odgłosy walki. Nad ranem strzały ucichły. Ktoś przyniósł wiadomość o kapitulacji Mokotowa. Nastąpił koniec wszelkich nadziei i marzeń o wolności. Przyszły chwile napięcia i niepewności o jutro. Krążyły w głowie różne myśli. Jaki los nas czeka, może

rozstrzelają nas lub spalą? Modliłam się gorąco o to, aby strzał był celny, aby nie zostać ponownie ranną.

Chwile wyczekiwania wlokły się w nieskończoność. Nagle usłyszeliśmy dudnienie ciężkich kroków, nawoływania po niemiecku. Po chwili wbiegło kilku Niemców z automatami gotowymi do strzału. Krzyczeli: "Raus! Austeten! Schneller!" - kierując w naszą stronę lufy. Widziałam jak koledzy przynaglani przez żołnierzy podnoszą się z pościeli. Byłam bezradna. Leżałam i czekałam na dalszy rozwój wypadków. Zabrano też ks. Zięję, dra Blocha oraz personel szpitala. Wszystkich poprowadzono w nieznanym kierunku. Dr Komuniecką udało się ukryć. W dalszym ciągu pozostawała niepewność i oczekiwanie: co z nami zrobią? Dopiero po południu zjawiał się wyższej rangi oficer wermachtu z asystą i po zlustrowaniu powiadomił nas, że w dniu następnym będziemy ewakuowani. Nazajutrz podstawiono podwody. Dowiedzieliśmy się, że będziemy przewiezieni na bocznice kolejową przy Wyścigach Konnych na Śłużewcu. Po przewiezieniu na teren Wyścigów ulokowano nas w stajniach. Z pomocą przyszła nam Rada Główna Opiekuńcza: rozdano bieliznę pościelową, owoce i cebulę. po kilku godzinach zostały podstawione otwarte towarowe wagony, do których zaczęto przenosić rannych. Trwało to aż do zapadnięcia zmierzchu. W pewnej chwili ja i "Dolores" ( była również ranna ) zauważyłyśmy z przerażeniem, że jesteśmy ostatnie w ciemnym końcu stajni. Nikt po nas nie przychodził i nie widzieliśmy nikogo w pobliżu. Wreszcie pojawił się ktoś z latarnią. Był to lotnik niemiecki, który na nasze wołanie wezwał swoich kolegów i wyniesiono nas na zewnątrz stajni przekazując chłopom noszącym rannych. Kiedy niesiono mnie wzdłuż wagonów, wołałam: "Doktor Komuniecka!". W odpowiedzi usłyszałam głos "Lilki": "Tu,tu". Wagon był już przepelniony, gdy wciągano mnie do środka. Okazało się, że aby można było zamknąć drzwi wagonu, muszę zgiąć nogi. Wywoływało to ból w rannym udzie. Po wielu godzinach jazdy w takiej pozycji dopiero następnego dnia rano zatrzymaliśmy się w Milanówku. Wsiadły tam m.in. osoby zabrane z warszawskich domów starców. Leżących na noszach lub materacach przeniesiono do dużej sali widowiskowej i położono na podłodze. W sali kłębił się tłum staruszków lokowanych tu z różnych transportów. Dr Komuniecka poinformowała mnie, że ona z pozostałymi osobami z naszej grupy będzie szukać jakiegoś innego miejsca i że jest mi potrzebna natychmiastowa operacja: muszę dostać się do szpitala. A ja byłam bardzo spragniona i głodna. Poprosiłam chłopców, którzy przynosili mnie z peronu, aby kupili coś do picia i jedzenia. Dałam im pieniądze z otrzymanego żołdu. Przynieśli butelkę mleka i dwie kajzerki z masłem. Nigdy przedtem i potem nie czułam tak wspaniałego smaku mleka i bułki.

Tych samych chłopców poprosiłam, aby nazajutrz przyszli z noszami i zanieśli mnie do najbliższego szpitala. Zgodnie z umową zjawili się rano. Zanieśli mnie i położyli na trawniku przy wejściu do willi, w której mieścił się szpital (ul. Słowackiego 5). Sami ukryli się i obserwowali co się ze mną stanie. Musiał mnie ktoś zauważyć, ponieważ po chwili wyszedł lekarz (był to doc. dr Krotowski). Nie mówiąc ani słowa odrzuciłam zdrową ręką piernat, którym byłam przykryta. Zobaczywszy w jakim jestem stanie kazał mnie przenieść do sali opatrunkowej. Po wniesieniu do wnętrza ktoś zawołał moje imię - była to "Storczyk", wspomniana już sanitariuszka z mojego patrolu. Zmieniającym jej opatrunek lekarzem był ...dr Sawicz - ojciec "Sawy". Okazało się, że dziwnym zrzędzeniem losu znalazłam się w ewakuowanym z Warszawy Szpitalu Ujazdowskim. Dr Sawicz oraz jego żona otoczyli mnie serdeczną opieką. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Natychmiast wykonano pierwszą operację. Łóżko, czysta pościel. Po czterech dniach operowano mnie po raz drugi, ponieważ po pierwszej operacji nie było oczekiwanej poprawy. Odwiedził mnie też ks. Zięja wypełniający swoją duszpasterską służbę. Od niego otrzymałam wówczas obrazek z symbolem Serca Jezusowego, który stał się dla mnie ołtarzem. Przed nim modliłam się wtedy i modłę się do dziś. W tym samym czasie odnalazła mnie sanitariuszka z zespołu dra "Sławka" Wanda Siemieńska ps. "Wanda". Od niej dowiedziałam się, że rtm. "Garda" został kontuzjowany i po

zakończeniu walk na Sielcach przekazał dowództwo kpt. Jackowi Januszowi Wyszogrodzkiemu ps. "Janusz". "Wanda" po przejściu na tyły pisała m.in. wnioski o awanse i odznaczenia, wśród nich o Krzyż Walecznych dla mnie. Sprawiała mi tą informacją dużą przyjemność. Podjęła się też zawiadomić moją rodzinę. Pewnego dnia niespodziewanie zobaczyłam stojącą w drzwiach moją matkę. Było zaskoczenie i ogromna radość. Na mój okrzyk: "Mamo!" - z wrażenia padła zemdlona na podłogę. Przed przyjściem do mnie widziała się z drem Sawiczem i ten przekonywał ją o konieczności amputacji ręki. Mama w pierwszej chwili nie chciała się na to zgodzić. Dr Sawicz argumentując o potrzebie amputacji powiedział: "Ja bym nosił nawet kadłub swojej córki, aby tylko żyła". To przeważało. Kiedy dowiedziałam się o tej decyzji, zaczęłam błagać, aby jeszcze poczekano. Mówiłam, że nie mam ojca i muszę pracować, że się modlę i może Bóg wysłucha mojej prośby. Rzeczywiście stał się cud. W nocy obudziłam się pod wpływem silnego bólu w ranach. Przerazona wołałam o pomoc. Doc. Krotowski spojrzął na moją rękę: bandaże oblepione były białymi robakami. To larwy muchy stajennej. "Aniołku, tyś cudu doznała. One uratują ci rękę" - powiedział. Trudno jest wyobrazić sobie cierpienia, jakie musiałam znieść. Cierpiałam z myślą o wyzdrowieniu. Gryzłam pościel i własne wargi. Po dwóch tygodniach rany zostały oczyszczone na tyle, że nastąpił proces gojenia.

Rodzina rozpoczęła starania o przeniesienie mnie do szpitala w Żyrardowie. Szpital Ujazdowski miał być ewakuowany z Milanówka do Krakowa. Należało uzyskać zgodę na przyjęcie mnie do żyrardowskiego szpitala. W otrzymaniu tej zgody pomogła mi ppor. Magdalena Grzybowska ps. "Growska". 1 listopada przyjechał po mnie z moją mamą por. Stanisław Ołdakowski ps. "Okoń" - dowódca placówki sabotażu i dywersji na tym terenie, a poza tym mój szwagier. Nie było zezwolenia na przejazd z Milanówka do Żyrardowa. Mimo to przewieziono mnie na furze, polnymi drogami, w czasie mżącego deszczu. W końcu listopada usunięto wreszcie, bez znieczulenia, największy odłamek z uda. Rana zaczęła się goić i mogłam rozpocząć naukę chodzenia. 16 grudnia w szpitalu zjawili się dwaj umundurowani gestapowcy z tłumaczem. Całe szczęście, że tego dnia leżałam w łóżku. Zauważyłam ich, gdy rozmawiali z drem Grabowskim w pokoju przylegającym do naszej sali. W tym czasie była u mnie mama. Siedziała obok mojego łóżka na obrotowym stołku. W chwili gdy spostrzegłam idących w naszym kierunku gestapowców, wiedzona instynktem powiedziałam: "Mamo odwróć się i rozmawiaj z sąsiadką". Niemcy podeszli. Widzieli sterczącą, unieruchomioną na drucianym stelażu rękę i bladą twarz dziewczyny - udawałam obłożnie chorą. Interesowali się gdzie i w jakich okolicznościach zostałam ranna. Oczywiście zmyśliłam jakąś opowieść. Dr Grabowski, który był przy przesłuchaniu, potwierdził mój zły stan i że nie nadaję się do transportu. Został więc zobowiązany do powiadomienia gestapo o poprawie mojego zdrowia. Niemym świadkiem tej rozmowy była moja matka. Siedząc tyłem do mnie uniknęła ewentualnych pytań. Po wyjściu Niemców, drżąca i roztrzęsiona, starała się to ukryć przede mną, aby nie pogarszać stanu moich nerwów. Dopiero po przejściu sześciu kilometrów po głębokim śniegu i pod wpływem przeżytego zdarzenia upadła zemdlona przed domem.

W połowie stycznia Niemcy z zaplecza frontu zaczęli opuszczać miasto. Pierwsze oddziały wojsk sowieckich dotarły pod Żyrardów. Po słabym oporze hitlerowców 17 stycznia do Żyrardowa wkroczyła Armia Czerwona. Szwagier wiedząc o aresztowaniach żołnierzy Armii Krajowej zabrał mnie ze szpitala i przewiózł do swojej placówki we wsi Wiskitki, pod Żyrardowem. Jechaliśmy na furze główną ulicą miasta, wśród rozradowanych mieszkańców i strzelających na wiwat żołnierzy. Dla nich był to dzień zwycięstwa i wolności, dla mnie jedynie zmiana prześladowcy. Gnębiło mnie uczucie zawodu i smutku. Nie witano bliskich memu sercu żołnierzy Armii Krajowej. Ci musieli czekać na pełne uznanie i zwycięstwo idei, o którą walczyli z takim poświęceniem i trudem, aż 45 lat.

Zofia Jastrzębska - Kowalewska

*Zofia Jastrzębska - Kowalewska*



IV Korespondencja  
(2008) k. 1



IV/1

Wirtualna Polska	"Archiwum i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby w Toruniu"	Drukuj
Wydrukowane ze stron: <a href="http://poczta.wp.pl">poczta.wp.pl</a>		
<b>Od:</b>	<skanna@op.pl>	
<b>Do:</b>	<fapak@wp.pl>	
<b>Data:</b>	Wtorek, 11 Listopada 2008 11:11	
<b>Temat:</b>	Moja mama ps. Zosia	
Wpłynęło dnia: 12.11.2008		
L. dz. 1723 / WSK-92 / 08		
Załączniki:		
Referent:		

Szanowni Państwo,

Przesyłam krótki biogram mojej mamy. Nie wiem czy posiadacie go w archiwum mama jeszcze żyje i mogłaby wiele uzupełnić. Mamy też kilka zdjęć, których skany chętnie prześlemy. Mama tak jak pani Elżbieta Zawacka wchodziła w przestrzeń zamieszkiwaną wyłącznie przez Niemców ale nie znała nawet słowa po niemiecku. Nie miałyby szans w wypadku gdyby przyszło do rozmowy.

Zofia Jastrzębska - Kowalewska Łączniczka sanitariuszka PS. ?Zosia? ur. 5.05.1923 r

W konspiracji od 09.1940 r - wstąpiła do ZWZ następnie do AK. Już w 1939 roku po kapitulacji Warszawy zaczęła gromadzić materiały opatrunkowe i przechowywać broń pozostałą po walkach wrześniowych. Włączyła się czynnie w akcję dożywiania i opieki nad żołnierzami polskimi rannymi w kampanii wrześniowej przebywającymi w Szpitalu Ujazdowskim.

W latach 1943/44 prowadziła kolportaż biuletynów oraz prasy w języku niemieckim w ramach konspiracyjnej akcji "N", której celem było sianie zwątpienia w ostateczne zwycięstwo III Rzeszy wśród żołnierzy i cywilów niemieckich. Gazetki te umieszczała w skrzynkach pocztowych w domach zamieszkałych przez Niemców oraz w przedziałach tramwajowych "nur für Deutsche".

W Powstaniu Warszawskim: od 1.08.1944 w WSK Sekcja Sanitarna - ul. Słoneczna 50 - jako patrolowa-sekcyjna, pod jej dowództwem znajdowało się 5 sanitariuszek i 2 łączniczki.

Po ataku na dom żołnierza niemieckiego na ul. Klonowej jej oddział wycofał się z innymi do Lasów Kabackich. Ona sama pozostała na ul. Słonecznej 50 i nawiązała kontakt z walczącym Mokotowem.

Z kilkoma sanitariuszkami i łączniczkami, za wiedzą Komendantki "Jadwigi" (Antonina Kon) zgłosiła się na ochotnika do służby liniowej na Dolnym Mokotowie, gdzie brakowało sanitariuszek.

Dostała przydział do służby sanitarnej batalionu "Ryś", którym dowodził Andrzej Czaykowski, ps. "Garda". Szefem służby sanitarnej tego batalionu był dr Zdobysław Czerwiński, ps. "Sławek".

"Zosia" otrzymała przydział do kom. "Krawiec", której dowódcą był ppor. Stanisław Milczyński, ps.

"Gryf". 27 sierpnia 1944 r. o godzinie 1 w nocy jej oddział zaatakował koszary przy ul.

Podchorążych.

W dniu 2.09.1944 udzielając pomocy rannym żołnierzom z Sadyby sama została ciężko ranna odłamkami z granatnika. Odniesione rany spowodowały trwałe kalectwo - sztywny łokieć.

Odnaczona krzyżem ~~Virtuti Militari~~. KW.

Pozdrawiam bardzo serdecznie.

Anna Kowalewska Skarżyńska

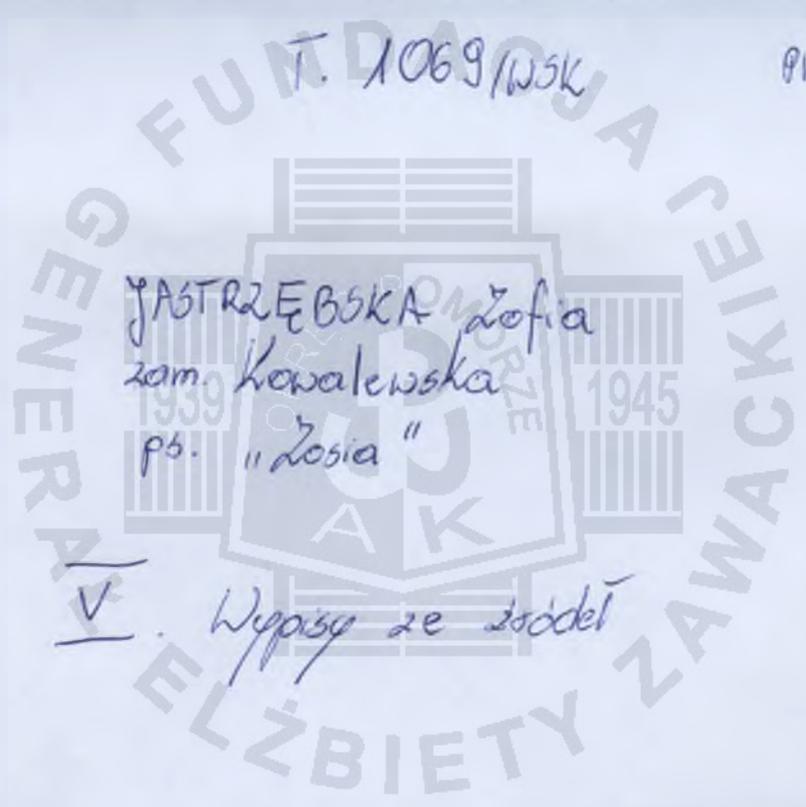


T. 1069/WSK

PNK Ak  
W-wa

JASTRZĘBSKA Zofia  
zam. Kowalewska  
ps. "Zosia"

V. Wypisy ze zwołań



T. 1069

WSK

PK  
WVA

JASTRZĘBSKA ZOFIA, zam. Kowalewska  
ps. "Zosia"  
ur5.05 1923 z Juliana i Stanisławy w Warszawie

W szkole PW, PCK. w 1939 sanitariuszka, zap, 1940  
sanitariuszka- łączniczka, w Powstaniu w bat.  
"OAZA" -patrolowa sanitarna, ranna 2.09-44.

zob. "Biuletyn 7(8 9 9 str.6,7,8, sierpień i 7,8  
wrzesień w "Sanktuarium św. A. Boboli 1994 i  
Okręg. Zarz. Inwal. Wojennych - "Ankieta-konkurs"  
pierwsza nagroda 1992.

"Mokotów"-L. Bartelski, str.342, 425,474,655

T.Bojarska 1998

i

T. 526 1069

WSK  
Poušt. H.  
H-100

YASTRIĚBSKA - KOWALEWSKA ZOFIA

Zob.

WSK

H-100

1030  
WV 1997

stváci se mužá

1945

K.M.

T. 1069/W3K

PNK AK  
N-va

JASTRZĘBÓKA Zofia  
zam. Kowalewska  
ps. "Zofia"

VI  
Fotografie

VI. Fotografie  
zdj.

JASTRZEBSKA Zofia

ps. Zosia

1939

1945



FUNDACJA  
GENERALNA  
ELŻBIETY ZAWACKIEJ

1069/WSK



Prof. Elżbieta Zawacka  
Fundacja Archiwum Pomorskie  
87-100 Toruń  
ul. Mickie Gąsienicy 2





Wojna Jastarska - 1/2  
Konarzewice  
ps. "Dania"  
m. 5. 1925 w. 19  
m. 1945



JASTRZĘBSKA

Zo



Zakład Produkcyjny w Legnicy  
 TECZKA DO AKT  
 SWW 1824-331      ZN-96/1

